Ner 9. 1860. 26 Listopada.

NIEWIASTA.

Język ojczysty.

Nie dała opatrzność niewiastom, ażeby się głównie, bezpośrednio zajmowały polityką: dała im, aby się zajmowały narodowością. Chciała nawet opatrzność, że narodowości nie ma, i nie będzie bez niewiasty i jej wpływu.

Jednym z największych narodowych wyrobów i najcenniejszych skarbów, jest język ojczysty.

Język narodowy u nas nie dla tego nazywa się ojczystym, iż nim tylko ojcowie, a nie matki mówią; lecz dla tego, że widoczniej stosuje się do usposobień ojców, niż matek, że jakoby przeważnie jest męskim, jędrnym, jasnym, niezawiłym, wprost do celu dążącym, nawetkrótkim i węzłowatym.

Wiemy, że dobrego stadła dziecię jest podobnem tyle do ojca, ile do matki.

Takiego stadła dziecięciem jest nasz język: męski, silny, jędrny, krótki, węzłowaty; jest oraz, gdzie tego potrzeba, rzewnym, czułym, tkliwym, nawet miękkim.

Mamy jasny dowód, że nim opiekowała się tyle niewiasta, ile się nim opiekował mężczyzna; tyle matka rodziny, ile jej głowa: mąż-obywatel.

Dobrze powiedział ś. p. Jan Nepomucen Kamiński, któremu dzisiaj wdzięczni ziomkowie pomnik stawiają,

Ucz się ojców twych języka,
On myśl każdą wydać zdolny:
Gnie się, dźwięczy, grzmi, przenika,
Jasny, śmiały, bo jest wolny.

J. N. Kamiński rzekł, że język nasz jest wolny.

Za wolnością naszego języka, która nie znosi więzów zachodu, odzywam się do płci pięknej.

Płci piękna, która dla ojczystego języka, w długim lat przeciągu więcej uczyniłaś, niż dla niego liczne akademie uczynićby zdołały, do ciebie się odzywam i ciebie błagam:

Stań na straży ojczystego języka, by nikt niepoważył się kazić go zwrotami, właściwemi językom zachodnim, a naszemu (najpotężniejszej gałęzi języków słowiańskich) zupełnie obcemi.

Niezawodnie idzie o to, by jak najmniej używać słów obcych; lecz najbardziej chodzi o zwroty swojskie, jakie widzim dochowane w dziełach: Orzechowskiego, Reja, Bielskich, Górnickiego, Kochanowskich, Skargi i t. d.

Płci piękna! mało na tem zależy, czy będziesz mówiła czystym paryskim akcentem, lub czy wcale po francusku mówić nie będziesz: lecz bardzo i bardzo wiele na tem zależy, abyś mówiła po polsku jasno, dokładnie, wyrazisto, szczerze.

Nasz język, jak nasza dusza i serce wymagają jasności, dokładności, wyrazistości, szczerości.

Nadto nasz język wymaga krótkości i węzłowatości.

Nadto nasz język nie może się obejść bez harmonii.

Którakolwiek z pań, nie nauczyła się od matki i ojca szczerze po polsku, nie czytała jeszcze autorów powyżej wymienionych, tej radzę najżyczliwiej, chcąc ją postawić w możności wypełniania swoich obowiązków, niechaj ich czyta; radzę jej nadto, niechaj czyta uważnie ze względem osobliwym na język, satyry i prozę ks. Adama Naruszewicza, ks. Ignacego Krasickiego, Jana i Jędrzeja Śniadeckich, ks. Hugona Kołłątaja.

Kwestya języka naszego, rozstrzyga się przez rząd dzisiaj na korzyść naszę. Jakkolwiek widzim, że dla sytuacyi powszechnej europejskiej, rząd czyni koncesye ojczystemu naszemu językowi, zadowolimy się aż wtedy, gdy się przekonamy, że Ty płci piękna! względem niego dopełniasz w całej rozciągłości obowiązków obywatelskich.

O dobrych, najlepszych chęciach twoich nie mamy najmniejszej wątpliwości. Niechaj Ci Bóg najwyższy dopomaga!

—1.—

Gospodarność.

Już to mi się wcale niepodoba ten pan Rufin. Tak mówił jednego dnia do swojej żony pan Mieczysław, gęste mgły dymu wypuszczając z ust swoich, i z wyrazem pewnej niechęci kończąc swą fajkę. Klęka przed Jadwisią, zowie ją bóstwem swojem, i nieustannie powtarza, że ją nadewszystko uwielbia i bez niej żyć nie może. Byle się tylko biedne dziecko nie z niepokoiło w swem niewinnem serduszku taką czcią bałwochwalczą, której pewnie niechętnie i poniewolnie staje się przedmiotem. Kochana Jadwisia, odrzekła mu żona, dzięki Bogu, zanadto jest pobożna i rozsądna, aby to jej się mogło podobać, i właśnie przedwczoraj mówiła do mnie, że zamierza iść do spowiedzi, bo jej to przykro, iż takie niezbożne niedorzeczności słuchać jest przymuszona. Cieszy mnie ten zdrowy rozsądek naszej Jadwisi, niepowszedni to dar Boży u niewiasty, widać, że nieodrodną jest córką godnej swej matki, rzekł z przymileniem p. Mieczysław do żony.

Ztąd rozwinęła się dalsza w tym przedmiocie rozmowa. Póki, rzekł pan Mieczysław, niewiasta była tylko towarzyszką i najściślejszą dozgonną przyjaciołką męża swojego, póty uczyła się gospodarności, aby mężowi ułatwić życie, osłodzić troski, uprzyjemnić dom, i uzacnić w nim pożycie. Jako *niewiasta mężna*, według pisma świętego, gromadziła swą starannością dostatki i wygody w dom męża, i to stanowiło wielką część jej zacności i zaszczytu towarzyskiego. Chlubiła się bowiem gościnnością, dobroczynnością i zasobami dobrze urządzonego domu. Gdyż to ułatwiało jéj wychowanie dziatek, wprowadzenie ich w świat, i okraszenie przyszłego ich losu. Niestety! te nasze staropolskie cnoty, runęły pod ciosami nowomodnej francuskiej oświaty. Źle zrozumiana rycerskość ludów romańskich uwielbiła niewiastę nad miarę, i uczyniła mężczyznę nadto sługą jej i pachołkiem, a w rzeczywistości jej tyranem i gnębicielem. Nareszcie bezbożność aż do panteismu i ateismu posunięta, z rzekłszy się Boga a cześć mu przynależną

przeniosłszy na naturę, w tej naturze jak naturalnie pierwszeństwo oddała niewieście, przed nią uklękła, i w niej swe bóstwo uznała. A niewiastom pochlebiło to. Zaczęły te bóstwa próżniaczyć się, grymasić, dziwaczyć, chorować, i póty nudzić i zrzędzić, póki z niecierpliwieni mężowie nie zaczęli tak z niemi postępować, jak murzyni ze swemi fetyszami, gdy są niezadowolnieni z ich opieki nad sobą. Ztąd takie mnóstwo separacyj i rozwodów stało się istną epidemią między nami, i zakałą narodu naszego. Co teraz już Bogu dzięki ustawać zaczyna: I toć to jest przyczyna, dla której tak mnie z niechęca do siebie, ten pan Rufin konkurent do Jadwisi i chociaż zresztą wszystko za nim przemawia, niechciałbym iżby był zięciem moim, bo obawiam się, iż jak teraz Jadwisia jest bóstwem jego, tak potem stałaby się jego religii ofiarą.

Pragnę, i oto Boga proszę, aby nasza Jadwisia była praktyczną i gospodarną. A pod temi cnotami nierozumiem samo tylko dysputowanie kucharzowi objadów, co się już dzisiaj zajęciem domem nazywa, ale chcę ja, tak jak ciebie, żonę moją i jak Władzia syna naszego, przypuścić do uczestnictwa naszych ogólnych majątkowych trosk i zajęć, aby kiedyś mogła iść mężowi w pomoc w całym zarządzie gospodarstwa jego, a wrazie jakiejkolwiek dłuższej niebytności męża w domu, sprawy majątkowe sama należycie poprowadzić.

Wdzięcznie przyjęła matka Jadwisi te uwagi męża swojego, i zapowiedziała jej, jakie ją czeka zaufanie ojca, jakie z tego wynikną dla niej obowiązki. Jadwisia pocałowała matkę w rękę, łezka w jej oku, i wzruszenie w jej obliczu, okazywało iż się czuła podniesioną w dojrzalszą życia sferę.

Zbliżyły się święta Bożego Narodzenia. Władzio, akademik krakowski pospieszył do domu, bo ojciec wielce to sobie cenił, aby przy łamaniu opłatka hołdy miłości i życzeń od swych dzieci odbierał, jak i w ogóle wszystko to ściśle utrzymywał w kole domowem, co tylko ścieśniało i uświęcało węzły rodzinne.

Popołudniu, w drugim dniu świąt, kiedy parobki według zwyczaju dziękują za służbę, i idąc do karczmy jako niezależni, z czapką na bakier, wołają:

Na swięty Scepon.
Każdy sobie pon.

A jednak myślą nad tem, aby nie tracić służby u tak dobrego Pana, Pan Mieczysław wezwał do swego gabinetu, żonę, Władzia i Jadwisię i w następujący sposób do nich przemówił: Każda rodzina jest monarchią, która ma prawo do samorządctwa. Monarchia czyli państwo tworzy budżet swych przychodów i wydatków, inaczej bowiem finanse wyszłyby z karbów porządku, upadłyby ład, kredyt, i zniknąłby pomyślność. Otóż dzieci moje, wzywam was do rady, w ułożeniu naszego familijnego budżetu na rok następny, abyście wiedzieli jak i wasze potrzeby i zamysły do niego zastósować macie, i czego się możecie spodziewać, lub przeciwnie.

Nie zamierzam wszystkie tego budżetu przechodzić szczegóły. Ogólnie tylko powiemy że przedstawiwszy przychody, i niezbędne coroczne wydatki, potem za często rozbierać każdomiesięczne potrzeby. A więc: Styczeń. Ojciec uśmiechnął się, i rzekł: zapusty. Mama spojrzała na Jadwisię, i głosowała na dwa wyjazdy do Krakowa, i na kulig w domu. Jadwisia zarumieniona prosiła o głos, wotowała na oszczędność. Kiedy będzie kulik w domu, to dość jeden wyjazd do Krakowa, na bal towarzystwa dobroczynności. Wesoły Władzio z uśmiechem mówi: Jadwisia głosuje na oszczędność, aby więcéj zostało na rubrykę: domyślne wydatki. Tak jest, odparła Jadwisia, na dyplom doktorski dla Władzia, ale miłe obopólne spojrzenia okazywały, że to nie były złośliwe przycinki. Tak wesoło i swobodnie skończyła się sprawa budżetowa, a Władzio oświadczył, iż z pewnością w żadnym parlamencie tak prędko i dobrze nie idzie.

W parę dni potem przyjechała ciocia Jadwisi, powinszować bratu swemu Mieczysławowi nowego roku, ale przytem i pożyczyć pieniędzy, bo jakoś ich wartości niepojmowała, i wcale nie będąc gospodarna, jak pótrzeba, troszczyła się dopiero zkąd wziąść aby było. To ją w tysiączne kłopota i przykrości wprowadzało, i nieraz płakała i narzekała, sama niewiedząc na co i na kogo.

Moja Jadwisiu, rzekła jednego poranku do niej, ja się boję, że ty będziesz bardzo wyrachowana, a to nie dobrze dla panienki, bo to pospolituje jej uczucie i robi ją samolubem. Cicciu droga, odrzekła Jadwisia. Panienka, jeżeli się oblicza z swojemi potrzebami i wydatkami, zapewnie, gdy pójdzie za mąż, nie będzie wymagała od męża, tego, co być nie może, lub co z majątkową krzywdą domu być nie powinno. W ogóle będzie gospodarna. Prawda, że i gospodarność może się wyrodzić, i w twarde sknerstwo przemienić, ale kto Boga kocha, ten się nigdy do majątku zbytnie nie przywiąże, bo ma na pamięci słowa psalmisty: *„Jeżeli Pan niewybuduje domu, daremnie pracują, którzy go budują.“*

X. W. Serwatowski.

Stroje niewiast polskich za Augusta III.

Bolesna to rzecz przeglądać ostatnie karty dziejów naszego narodu. Złe, sprzysięgło się, że tak powiem; na nas, i coraz silniejszemi wpływy udaremniało to wszystko, co jeszcze było dobrem, zacnem, świętem i bożem. Z upadkiem rodziny Jagiellonów, których panowanie taką świetną naznaczyło w naszych dziejach epokę — ze śmiercią znękanego króla w Knyszynie — obumiera dzielność nasza, bledniej jasność gwiazdy świecącej chwałą nad nami — wyraźnie chylimy się ku upadkowi. Bo, chociaż tysiączne przyczyny na zewnątrz upadek naszego kraju wywołały — nie możem przecież zaprzeczyć, iż wielkim tego powodem byliśmy sami — przodków pogardziwszy cnotą i męstwem, społeczne prawa zdeptawszy, a przedewszystkiem od prawdziwego odstąpiwszy Boga. Od roku 1572 t. j. od wygaśnięcia linii Jagiellonów, zaczyna się już widoczna martwota w obyczajach, wywołująca mnóstwo wydarzeń, o których pod berłem Piastów i Jagiełłów, ani nam marzyć nie było wolno. Rozwiązani z posłuszeństwa, w uczeni w bezkarność i swawolę — nie uważali Polacy pod koniec XVI a na początku i dalej XVII wieku na węzeł spólnej wiary, spólnej narodowości, który ich niegdyś tak jednolicie był spajał.

Domowe życie na wzór publicznego (choć nie tak zupełnie) zaczyna przedstawiać obraz anarchii — zepsucia i upadku moralnego. Wyjąwszy lat kilkanaście dzielnego panowania Batorego i Władysława IV, ani Henryk Walezyusz, ani dwaj niedołężni Wazowie niezdołali rozjaśnić gasnącego światła wielkości naszego narodu — dozwalając przytem, tą właśnie nieszczęsną swą słabością gasnąć mu powoli — Większością głosów obrany król od szlachty i jej *paktami* skrępowany, nie mógł być głową prawa, mającego też szlachtę sprowadzić do posłuszeństwa, tego niezbędnego warunku porządku, bez którego nigdy i nigdzie o świetności narodu myśleć nie można. Chyliło się więc wszystko ku upadkowi.

Objawy tego upadku widoczne już od końca XVIgo wieku, stawały się coraz widoczniejszemi z czasem — tak, że na początku XVIII stólecia Polak sumiennie i należycie tak co do ducha, jako nawet co do kształtu scharakteryzowany, przedstawiał najdziwaczniejszy obraz do onego swojego dziada a czasem ojca wcale nie podobny. Zdawałoby się że właśnie o to narodowi chodziło, aby w nowej epoce upadku, nowe pokolenie siliło się na całkowite przeobrażenia charakteru, ducha i obyczajów. Różnemi wyrazy zepsucia świadczył naród o swej nieszczęsnej doli, jakiej sam widocznie pragnął. Wiara święta, w której zawsze Polacy starzy celowali, widocznie upadać zaczęła — serca stygły, a więc też i owo niezwalczone męstwo powoli w nich wygasło.

Nie szło to wprawdzie prędko. Człowiekowi dobrych zasad, poczciwej przeszłości — trudno od razu stać się zupełnie złym. Tak i z narodem.

Jednym z pomiędzy ważnych objawów upadku i zepsucia ducha narodowego — objawem wprost do oczów każdemu przemawiającym, było wzgardzenie stroju swojskiego, a zamiłowanie cudzoziemskiej mody. Znów łatwe porównanie z człowiekiem. Kiedy poznawszy w złym, a gorszym od swojego domu — coś złego, coś kuszącego namiętność wrodzoną tobie — naśladować to poczniesz, zaczynasz od maleńkiego. „Od łyczka do rzemyczka.“—Postępując dalej a dalej, przejmiesz się wszystkiem, coś w onym ulubionym ci domu opatrzył. Tak z narodem, tak było z nami. Od naśladowania strojów i mody, posunęliśmy się do naśladownictwa nałogów — a nałogów po większej części złych, boć rzadko człowiek naśladuje dobre — częściej złe.

O strojach chcieliśmy właściwie rzecz naszę prowadzić, kilka myśli nasunęło się nam z tego względu pod pióro — za nie przepraszając — przystępujemy już do tej nie dobrej, a pierwszej w naszym upadku, ułomności.

Lecz tu mówić będziem o stroju niewieścim: to zaś, co tu powiemy będzie tylko wyimkiem, z bardzo zacnej książki księdza Kitowicza, wydanej przez Edwarda Raczyńskiego p. t. „Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III.“ Oj wiele bardzo w tej książce bolesnych wspomnień, smutkiem duszę Polaka przejmuje. Co rozdział — to nowy jakiś grzech — nowa ułomność nasza. A im tego więcej — ,im dalej w las- tem boleśniejsze wrażenie, tem bliższy skutek upadania na duchu — wyrodzenia się z ojców wiary, wzgardzenia ich obyczajami, i zwyczajami, ich taką piękną szatą.

Za panowania Augusta III niewiasty dopiero pierwsze zaczęły przesadzać się w strojach. Mężczyzni jeszcze się jakoś trzymali żupana i kontusza. — Jakaż to przykra rzecz dla nas wykazywać te bolesne fakta, których początkiem były niewiasty. Ksiądz Kitowicz, przystępując do szczegółowego opisania stroju matron polskich, który my dla tego tu podajemy, iż przypuszczamy, że może jest wiele z naszych czytelniczek, co tych ciekawych opisów nie znają — ksiądz Kitowicz tedy tak ten rozdział o strojach białogłowskich rozpoczyna. Musiałbym zażyć do tego pisania jakiej starej ochmistrzyni, żebym mógł opisać doskonale wszystkie suknie kobiece i stroje, których używały pod panowaniem Augusta III białogłowy polskie pierwszego i pospolitego stanu. Lecz i ta gdyby się jeszcze dziś znalazła, byłaby bardzo stara, a zatem do regiestrowania wszystkich mód dla osłabionej pamięci, w kobiétach prędzej niż w mężczyznach wietrzejącej, niesposobna. Więc sam, ile co pamiętam, czytelnikowi wystawuje.

Musiało tam tych strojów i ubiorów być bez liku, skoro otwarty i szczery ksiądz Kitowicz swemu opisowi przyznaje sam niedokładność — a przecież zobaczą łaskawe czytelniczki, jaki tu tego będzie poczet. Z tych słów okazuje się jeszcze i to, że za Stanisława Augusta, pod którego to króla nieszczęsnem panowaniem, żył zacny nasz autor — stroje niewiast zupełnie były dawniejszym z czasów Augusta III niepodobne. Wtedy już były wyrodzone, że tak powiem — jakież musiały być późniéj.

Po tej skardze, a raczej po tem wytłumaczeniu się, że nie może być ścisłym w opisie wszystkich strojów białogłowskich, zaczyna rzecz od głowy *„jako najpierwszego obmiotu, gdy kto na drugą osobę rzuca okiem.“*

Panny senatorskiej i szlacheckiej kondycyi, tudzież magistratowe i kupieckie córki, nosiły głowy z warkoczami, plecionemi, rozpuszczanemi wstążką przeplecionemi. Skronie otaczała przepaska muślinowa z wązką koronką nicianą, wstążkami rozmaitemi w pukle powiązanemi opięta. Nad czołem na wierzchu głowy, przypinały kwiaty ogrodowe: rozmaryn, lewkonią, gwoździk, tulipan, a zimową porą włoskie kwiatki, albo też własnych rąk roboty, jedwabne, naturalne kwiaty naśladujące. Te bukiety zdobiły bajorkiem srebrnym i rozmaitemi blaszkami świecącemi. Przypinały do tych bukietów czapki i kapelusze maleńkie, wielkości na ptaszka z materyi jedwabnej, także ptaszki rozmaite z jedwabiu wyrabiane. Potem warkocze obkręcały w około głowy, nie przydając wstążki do plecenia, a na ostatku postrzygły warkocze, krótkie włosy po karku tak, jak i mężatki rozpuszczając. Już wtenczas strój głowy był jednakowy wszystkim niewiastom, pannom, mężatkom i wdowom. Kapiki materyalne bogate, używane od mężatek i wdów zostały zarzucone od wszystkich młodych, świecąc się jeszcze niejaki czas na letnich białogłowach, wiekiem obciążonych, wygodę głowy, nad modę przekładających. Rzuciły się wszystkie młode panny i nie panny do kornetów, których kształtu opisać trudno, ponieważ ten odmieniał się co miesiąc. Zawisł zaś na rozmaitem składaniu, fałdowaniu, strzempieniu, wykrawaniu, bryzowaniu muślinu, rąbka, koronek i wstążek. Najdawniejsze kornety były dwoiste. Żółto farbowane, jak opłatki, i białe. Żółty kornet szedł na spód, biały na wierzch: noszone były dwojako, raz opuszczone na policzki, zawiązane wstążką pod szyją, drugi raz zawinięte w górę.

Żółte kornety pod panowaniem Augusta III niedługo zostały zaniechane, nie używano ich więcej jak lat 5 albo 6 pod tym monarchą, wyjąwszy Rodzewską, podkomorzynę poznańską, która przeżyła Augusta III używając do samej śmierci korneta żółtego starym krojem, i całego stroju staroświeckiego. W zimową porę na kornet zażywały dueta aksamitnego czarnego, karmazynowym albo różowym atłasem lub kitaiką podszytego, bawełną prześcielanego i koronką czarną obłożonego, pod szyją wstęgą ponsową albo zieloną zawiązanego. Ten duet był dwojaki: najpierwszy był szczupły, wierzch głowy i skronie z uchem pokrywający. Potem nastał duet wielki, szeroki, okrywający całą głowę, cały kark i występujący na twarz na dobrą dłoń tak, iż w takowym duecie pod gębą podwiązanym wydawała się twarz jak w głębokiem pudle. A kiedy w nim czuły zbytek ciepła, to go zawijały w miarę skroni.

Duety nie trwały wyżej nad 10 lat. Potem nastały kołpaczki aksamitne zielone i ponsowe z opuszką sobolą, z końcem łykowatym na ramię upadającym, z kutasem złotym lub srebrnym. Po kołpaczkach nie długo zarzuconych nastała moda kornetów wielkich, najeżonych na drutach, w których modnym damom było ciepło, choć w trzaskający mróz, *bo moda grzała*, wszakże do tego ciepła modnego przybierały czepeczki małe płócienne, przeszywane, białe, ogromności żydowskich krymek, te zaś sztucznie włosami swemi przykrywały tak,

iż kornet zdał się siedzieć na gołej głowie. Takie kornety wywożono z Paryża, a na wzór paryskiego upinano podobne w Warszawie, zkąd rozchodziły się po całym kraju. Choć zaś w domu mogłaby sobie nie jedna taki kornet upiąć, imaginacya jednak dowodziła na oko: iż żaden nie mógł być tak pięknym, jak warszawski, dla tego wiele pań, obywatelek warszawskich, miały znaczny zysk z kornetów, chowały po kilka dziewcząt do upinania kornetów, same będąc im do przykrawania i kombinowania mateklasów kornetowych, majstrami czyli mistrzyniami. Najtańszy kornet był za 20 złotych, najdroższy dukatów 6, choć cały jego towar nie wart był 10 złotych, a dziewczyna sprawna mogła upiąć na dzień dwa.

Lecz gust najwięcej przydawał tej drożyzny rzeczom z siebie podłym.

Urzędowe upinaczki kornetów siedziały z swojemi dziewczętami w sklepach, oknami w zimie dla ciepła, w lecie dla kurzawy zamkniętych, przez które okna przeglądając ładne twarzyczki, zwabiały kupców do kornetów, czasem mimo potrzebę, jedynie dla umizgów kupujących.

Nie bardzo miłego mógł się spodziewać mąż od żony przywitania, przyjeżdżając z Warszawy bez korneta, o który najpierwsze na przywitaniu było pytanie. Jeden wielce gniewliwą jak osę mający żonę, kupił dla niej kornet modny. Jedzie wesoły do domu, pewien miłego przywitania: lecz na nieszczęście od pudełka źle umieszczonego, zginęło w drodze denko z kornetem. Mąż przybywający do domu ciemnym mrokiem, a przytem podochocony w nadzieję korneta, bierze pudełko w ręce, niesie prosto i oddaje żonie; naści moja kochanko prześliczny kornet. Żona rozumiejąc, że ją tym sposobem przegryza, gdy biorącej za spód wpadła ręka w próżne pudło, uderzyła go mężowi o łeb, nałajawszy słowami jak najdokładniejszemi. Mąż nie czekając większej zapłaty, pojechał czemprędzej do Warszawy, i przywiózł inny kornet. Lecz żona statecznie trzymała, że zgubiony był piękniejszy, choć go nie widziała. Po kornetach na ostatku nastały szeniony, były to czapki haniebnie wysokie z płótna szyte, bawełną albo i pakułami wypchaną głowę, dwa razy tak wysoką jak była naturalna, czyniące. Te szeniony wsadziwszy na wierzch głowy, okrywały do koła włosami z przodu i z tyłu gładko w górę wymuskanemi i wypudrowanemi, a której niewystarczały samorodne włosy, przybierały do nich innych takiego koloru, jakie miała która z przyrodzenia. Na sam wierzch szenionu nad czołem przypinały malnśki kornecik skrzydlasty na drótach upinany, i ta moda była ostatnich czasów Augusta III.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Obrazek.

Cisza — mgły ranne zaległy na górach,
Jak skrzydła duchów, co w noc ziemi strzegły;
Spokojne słońce błysło na lazurach,
I mgły poranne wzniosły się, rozbiegły —
Jasna pogoda po nich pozostała,
Jak w duszy starca, co świat przeszła biała,
Niepokalana błotem i szarugą,
A teraz patrzy w śmierć — a patrzy długo,
Swobodnie, śmiele, jako w lice drucha.

Wietrzyk leciuchny, co po drzewach dmucha,
Łagodną ręką liść z gałęzi bierze:
Liść leci — pada z pielgrzymią tęsknotą
Całując ziemię, od swych braci złotą,
Idzie spoczywać — rostając w nicości . . .
I powstać znowu z kwiatów zmartwychwstaniem;
Życiem i śmiercią, istnieniem, konaniem,
Powiązan razem w jeden byt: miłości.

Po smętnej ziemi, od czasu do czasu,
Przelecą cienie ciągnących żórawi,
By czarne kwiaty pośród traw atłasu;
Ale na niebie ich wesołe smugi
Uroczem światłem słońce różowawi,
A krzyk ich mówi na waletę ziemi:
Wrócim na wiosnę z wieściami dobremi.

Nad zadumaną matki ziemi głową
Pająk, czarodziej snuje sieć tęczową,
Białą, drgającą barwami niebiosów,
I niże razem kwiaty, trawy, drzewa
W cudny poemat współprześnionych losów,
I wiatr na stronach tej bieluchnej sieci
Rodzinne dzieje matki ziemi śpiewa.

Tam od północy — szyk chmur ciemnych leci,
Mijają ziemię — i na widokresie
Stają jak Anioł, co śmierć z sobą niesie,
Cichy i rzewny: łza mu z oczu płynie,
Patrzy po ścianach domu i rodzinie. —
Nocą dopiero w skrzydeł ciemnych płaszcze
Ujmują ziemię — mgła szumi przez chaszcze,
Księżyc za mgłami, jak lampa grobowa
Swieci, i liści spadających słowa
Nad konającą w pacierze się plączą . . .
Z pacierzem liści, krzyki wron się łączą,
I sów żałobne na wieżycach wrzaski . . .

Nazajutrz słońca osłabiały blaski,
Mgły długo — długo nad ziemią wisiały —
Aż na sterczące konary dąbrowy
Upadł śnieg pierwszy — biały kwiat zimowy . . .
Opadał smętnie, łagodnie, powoli,
Jak głos poruszeń ku sercu, co boli,
Jak dłoń miłosna na zagasłe oko,
I całun biały rozesłał szeroko
Na drzewa, trawy, na domy i groby,
Cichy i czysty: Archanioł żałoby.

—2.—

PRZYWYCZKI.

Komedya w 4 aktach.

AKT IV.

(Dokończenie)

Scena VIII.

(Pyszalski, Pyszalska, Anna i Jaś.)

(Pyszalski z plikiem ogromnym gazet, Jaś z kijem i kapeluszem w ręku).

Pyszalski. No, ależ Jasiu, jeszcześ się nie dość okrzesał, jak cię kocham, po cóż ci się spieszy?

Jaś. Już ja tam dziękuję panu dobrodziejowi za resztę— takim jak jestem, natychmiast jadę do mamy, i tylko się chciałem z państwem pożegnać.

Pyszalski. No proszę! jaki gorączka, a ojciec jego tak lubił piwo pijać.

Jaś. A ja go nie lubił, więc mi go nawarzyli, teraz jeszcze co Tarabański odjechał, muszę i ja.

Pyszalski. Albo to, prawda, czego też on odjechał?!

Pyszalska. Każdy ma swoje interesa mój mężu, przecież mamy nadzieję, że nas panowie znowu odwiedzą.

Jaś. Nie wiem pani dobrodziejko, muszę się spieszyć do panny Katarzyny Oskumińskiej, bo gotowa bezemnie iść za mąż, jak mamę kocham.

Pyszalska. To panu tak pilno się żenić?

Jaś. Wszyscy się żenią to i ja.

Pyszalski. Wszyscy, a któż taki?

Jaś. A przecież panna Pawlina.

Pyszalski. Tak? — no proszę!

Jaś. A więc padam do nóg państwu, już teraz na prawdę, *(zbliża sie do Pawliny)* i pannie dobrodziejce to samo padam do nóg.

Pyszalska. Do miłego widzenia p. Przyzwoliński.

Jaś *(złośliwie.)* Pójdę i ja kwiatki zbierać *(zbliża się do Anny.)* Pani życzę dalibóg z całego serca szczęścia — a gdyby kiedy trzeba było, ja zawsze na usługi *(całując ją w rękę, — z rozrzewnieniem.)* Oho! ja nie taki głupi jak mamę kocham *(odchodzi.)*

Scena IX.

(Pyszalski zaczytuje się w gazecie, Pyszalska zbliża się do Pawliny, Anna siedzi przeglądając gazety koło Pyszalskiego.)

Pyszalska. Pawlinciu czego oni tak prędko odjechali, — musiałaś ich z kwitkiem odesłać.

Pawlina. A jakże mama chciała, przecieżem narzeczona hrabiego?

Pyszalska. Tak, to prawda drogie dziecię — jednak trzeba było się trochę jeszcze zatrzymać — gotowi się obrazić, a to historyczne imiona.

Pawlina *(szyderczo,)* No, przecież Adam jeszcze nie odjechał, to mogę go zatrzymać.

Pyszalska *(z krzykiem.)* Adama? a to poco? — on może się i gniewać, jeżeli się mu tak podoba.

Pawlina *(z godnością.)* A jeżeliby mnie to przykro było, żeby on się na mnie gniewał?

Pyszalska *(przerażona.)* Co mówisz dziecię?

Pawlina. Jeżelibym mamie powiedziała, że go kocham, kocham prawdziwie i tak, jak dotąd nie miałam wyobrażenia.

Pyszalska. Niechże cię Bóg dziecko broni!

Pawlina *(strwożona.)* Otóż . . .

(Drzwi się otwierają wchodzi Adam.)

Scena X.

Pyszalski *(odrywając się od gazet.)* Pan Adam, no proszę! — tyś przecie nie odjechał.

Adam. Nie odjechałem bo mnie ważny powód do tego skłonił.

Pawlina *(na stronie.)* Ciekawam.

Pyszalski. Jakiż? no proszę! — wystaw sobie, równowaga europejska się chwieje . . . *(zaczytuje się znowu.)*

Adam *(zbliżając się do Anny.)* Pani, racz posłuchać co powiem. — Długi czas znałem cię ze wszelkich przymiotów, jakiemi Bóg kobietę czasem uposaża, niewiedziałem tylko o tem, że umiesz posuwać wytrwałość do męczeństwa.

Anna *(pomięszana.)* Do czegóż to służy panie Adamie?

Adam. Dziś przypadkiem dowiedziałem się ze znalezionej, przez ciebie ułożonej modlitwy o twojej pani tajemnicy; — uczułem nagle taką radość jak sternik kołatany burzą gdy nagle ujrzy ziemię, zrozumiałem prawdziwe uczucie i dziś błagam cię o przyjęcie mej ręki . . .

Pawlina *(krzyknąwszy.)* Ha — okropnie!

Anna. Przyjmuję — a pospiech mój Bóg pobłogosławi.

Adam *(zbliżając się do Pyszalskich.)* A teraz państwa jako opiekunów, proszę o potwierdzenie.

Pyszalska. Pozwalamy i błogosławimy — mężu p. Adam prosi o rękę Anusi.

Pyszalski *(rzucając gazety.)* Anusi nie Pawliny, no proszę — a co wy już dziś nie wyrabiacie, awantury jak cię kocham — no bierz ją doktorze, poczciwa dziewczyna.

(Anna całuje go w rękę.)

Pawlina *(przybliżając się do Anny.)* Winszuję ci siostro nadspodziewanego zdarzenia *(z przekąsem)* a panu wyboru.

Adam. Dziwi mnie, że pani mówi nadspodziewanego, — zacność zawsze odbiera nagrodę choćby tylko w swoim sumieniu *(patrząc się na nią)* a fałsz . . .

Pawlina. Kazanie przy zaręczynach bardzo stósowne; — żałuję jednakże, że nie mogę go już słuchać mając narzeczonego, hrabiego Obojętnickiego . . .

(Wchodzi Obojętnicki nieśmiało i trochę pomięszany.)

Scena XI.

Ciż i Obojętnicki.

Obojętnicki. Może przerywam — przepraszam ale interes nagły. *(Wszyscy się zbliżają.)* W tej chwili odebrałem list od stryjecznego brata, starszy on odemnie o 20 lat, przytem cierpiący na podagrę i różne słabości, a ma przytem klucz składający się z 16 wsi . . .

Pyszalska. Wybornie, hrabio, stajesz się bogaty — cóż piękniejszego jak majątek i historyczne imię.

Obojętnicki. Lecz co najprzykrzejsza, że oddaje mi go tylko w wieczystą dzierżawę i każe natychmiast przybywać.

Pyszalska. Więc trzebaby ślub przyspieszyć....

Obojętnicki. *(udając że nieuważa)* Dotychczas byłem jakby sparaliżowany mojemi długami, teraz reakcya nastąpić musi . . . prosiłbym tylko o rzecz jednę szanownych państwa.

Pyszalska. Słuchamy.

Obojętnicki *(słodziutko.)* O malutką zwłokę ślubu na dwa lata, przez ten czas wyjdę ze wszystkiem na czyste... ja się na tem znam.

Pawlina. Wybornie mości hrabio, możesz go odłożyć na cztery.

Pyszalska. Ależ to się nie godzi . . .

Obojętnicki *(kłaniając się.)* A więc kiedym uzyskał łaskawe zezwolenie, żegnam mi państwa miłych, au revoir, au revoir, *(wychodzi spiesznie.)*

Scena XII.

Adam *(do Anny.)* Żegnam cię droga Anno, jestem tu teraz niepotrzebny, jadę uporządkować interesa i przybywam jak najprędzej zabrać skarb, którego już nigdy nie opuszczę *(całując jej rękę.)*

Anna. Czekać cię będę z biciem serca.

Adam *(zbliżając się do Pawliny.)* Nie chcę pani mówić kazania, ale rzeknę słowa prawdy pochodzące z serca, których eś dotąd tak mało słyszała. *(Pawlina z pochyloną głową milczy.)* Otrząśnij się pani z lekkości, która ci trochę próżnej zabawki a dużo czczości i złego przyniesie; — wierz

w uczucie, bo nim kobiety wysoko stoją ja zaś gdy znalazłem takie pocieszenie *(wskazując na Annę)* tylko z całej, duszy przebaczyć mogę.

(Kłaniając się Pyszalskim, odchodzi z Anną.)

SCENA XIII i ostatnia.

PYSZALSKI *(powstając nagle mówi.)* A to co było, zdaje mi się, żeście dużo gadali.

PYSZALSKA *(z goryczą.)* Przecieżeś usłyszał! — wiedz, że hrabia Obojętnicki odjechał zostawiając Pawlinę na koszu — hrabia! jedno z najhistoryczniejszych imion.

PYSZALSKI. No proszę! — a taki się spokojny wydawał, ale on miał tu *(wskazując na czoło)* jakieś fiksum, jak cię kocham — ale Adam żeni się z Anusią?

PYSZALSKA *(z gniewem.)* Cóż mnie to obchodzi!

PAWLINA *(powstając blada.)* Ale mnie to matko obeszło! — to był jeden, który potrafił łzę żalu wydobyć z oka, — jeden co rozbudził uczucie, któreś ty matko zawsze przytępiała.

PYSZALSKA *(krzyknąwszy.)* Ja, dziecię?

PAWLINA. Tak. — Uczyłaś mnie hamować wzruszenia,— odrzucać wszystko co szlachetne dla tego że biedne, a czepiać się blasków choćby były sztuczne i fałszywe, *(z uczuciem i mocą)* matko daruj, że ci to wyrzucam, aleś mnie źle uczyła... a jam kochała Adama! *(wychodzi zwolna.)*

PYSZALSKA *(zakrywając oczy.)* O, ja nieszczęśliwa!

PYSZALSKI *(przychodząc naprzód sceny.)* No proszę, — Pawlincia pięknie mówi, a nawet dobraby była dziewczyna, gdyby nie te różne przywyczki!—bo i oczytana, ale znowu tak jak ja *(uderzając się w czoło)* gdzież jej tam do tego jak cię kocham — no, no, *(uśmiechnięty)* — wiedzą ludzie

(Zasłona spada.)

Edward Lubowski.

ZASTRZEŻENIE.

Bez pozwolenia autora nie wolno tej komedyi ani przedrukować, ani przedstawiać na scenie.

Miłosierdzie jest dla serca kobiety największą roskoszą.

Pyszny i wielki świat, świetny i wesoły salon,—pełen dobranego towarzystwa — wesoła zabawa, dowcipna rozmowa, bale, ekwipaże, teatra, świecidła, stroje, mebelki: oto przedmioty podobające się niezawodnie niewiastom. Lecz gdy się zapytasz: są, że one ich sercu tak miłe, aby się w nich kochały? — Czy próżność, ogólna nazwa całego tego upodobania, jest najbardziej uroczym kwiatem wieńca uczuć kobiety? O! nie — z radością możemy i powinniśmy odpowiedzieć — nie! Serce kobiety przepełnione jest uczuciem prawdziwem, uczuciem piękna—ale nie piękna formy czczej, zewnętrznej—lecz piękna ducha. Co się podoba chwilowo kobiecie, nie wzruszy jej serca, które przecież tak łatwo wzruszeniom ulega! Aby niewieście serce zadrżało, aby łza rozrzewnienia zabłysła w pięknem jej oku, potrzeba większej pobudki nad tę, jaką jest wspomniana wyżej próżność z całym towarzyszącym orszakiem. Do tego potrzeba trzech koniecznie żywiołów: żywiołu narodowego, religii i ludzkości. Niewiasta wzruszy się zapewnie, gdy jej powiesz pocieszne słowo o dobrym stanie ojczyzny, wzruszy się gdy klęknie z krzyżem boleści swojej u stóp Chrystusowego krzyża—wzruszy się, gdy ujrzy w żebraka oku łzę nędzy i głodu, a niezawodnie ją otrzeć pospieszy, a wzruszy się najbardziej widokiem wytężonej nadaremnie walki męstwa, w obronie cnoty i prawa — z ich nieprzyjaciołmi. I to wzruszenie serca, to uczucie tak święte! tak drogie! (o! nie znam nic droższego dla duszy!) to jest prawdziwą rozkoszą kobiety. To uczucie ludzkości, ta miłość bliźniego, ten szczyt chrześciańskiego światła — najpotężniej objawia się w kobiecie przez miłosierdzie. Miłosierdzia dokonywująca kobieta, jest posłanniczką nieba — i niezawodnie aniołem pocieszycielem.

Myśl podana tu przez nas, jest właśnie główną myślą pewnej sztuki francuskiej, znanego pisarza *Ponsarda.*— A dla tegośmy ją tutaj przytoczyli, że chcemy obznajomić nasze czytelniczki z treścią tego nowego utworu, nadzwyczaj dobrze obmyślanego — który nie przez to tu umieszczamy, iżbyśmy mieli francuskie utwory tak dalece miłować — bo u nas rzeczy swojskie zawsze są w najwyższej cenie — lecz umieszczamy dla tego, aby tą treścią podać niemal obraz prawdziwego serca kobiety, o którem tyle różnych a różnych rzeczy pisano, a który trafnym pędzlem tak naturalnie Ponsard odmalował. Pojmowanie kobiety Ponsarda, podoba nam się szczególniej dla tego, że prawda tego pojęcia do francuzek wyjątkowo tylko da się zastósować — do Polek naszych stósuje się ona zupełnie. Przecież—bo jest tak — iż nasze Polki są więcej miłosierne niż próżne.

Owóż tedy treść owej komedyi jest taka: *)

Na polach elizejskich, wśród złota i aksamitów, młoda hrabina się nudzi. Bogata wdowa, otoczona gronem wielbicieli, nie może się zdecydować, którego z nich swą śliczną uszczęśliwić rączką.

— Ogłoś konkurs! mówi jej jeden z poufalszych konkurentów, niejaki Gontary, bliski krewny pani. Ponieważ chorobą twą są nudy, oddaj twą rękę temu, kto cię choć na jeden dzień z nich wyleczy.

Hrabina przyjmuje projekt z radością i wyznacza każdemu zalotnikowi dzień, w którym ją ma zabawić. Kuzynkowi dostaje się dzień ostatni.

Pretendentów jest czterech prócz kuzynka: jeden sławny sportsman; drugi salonowiec umiejący urządzać zabawy; trzeci umie oprowadzać po sklepach i najwykwintniejszym wspierać smakiem; czwarty, stary margrabia, nieurodny, to ma za sobą, że zaćmiewa wszystkich młodych galanteryą, którą tak lubią kobiety.

Mistrz zabaw salonowych dostaje dzień pierwszy; — urządza teatr w pałacu i każe grać komedyą wierszem, której poświęcony akt drugi.

Scena jak w Hamlecie, przedstawiona na scenie, wyobraża kwietną łąkę, na której tańcują rusałki, śpiewając piosneczki dziwnie powietrzne i bławatne, w rodzaju strofek polnych Bohdana. Grono dziewic wnet rozstępuje się przed swą królową, która przybywa smutna z powiernikiem Robinem i zwierza mu się, iż kocha człowieka, ale wtedy dopiero z nim się połączy, aż on pozbywszy się wad swojej rasy, do wysokości ideału bogini się podniesie. Praca to trudna, a królowej dłużej się czekać nie chce na szczęście — prosi więc Robina, żeby jej dopomógł i szeregiem pokus wypróbował serce Oliwiera (imie szczęśliwego śmiertelnika).

Królowa znika, a Oliwier przychodzi spragniony i szukający miłości. Robin przedzierzgnięty w Babę, podsłuchuje jego skargi, i podejmuje się zaprowadzić go do pałacu miłości, ale pod warunkiem, że młodzieniec piętnastoma laty swego życia zapłaci przewodnikowi..... Idą. Pukają do drzwi pałacu . . . Otwierają się podwoje i królowa rusałek w roli kurtyzanki występuje, starając się opętać jego zmysły powabami ziemskiej rozkoszy.

*) Dodatek do „Czasu" za sierpień 1860.

Oliwier ją odpycha: Precz odemnie! woła. Nie jesteś tą którą widuję we śnie — na licach twoich kłamstw, a bezczelność w mowie... Coś ty za jedna?

— *Miłość rozkoszy*, odpowiada królowa.

Oliwier odpędza bachantki i pozostaje znów samotny. Robin przebrany za mnicha, prowadzi go do innej miłości pałacu. Tu wszędzie błyszczy złoto. Królowa ofiaruje mu nieprzebrane skarby: ten kruszec, powiada, da ci wszystko, wszystko co zechcesz, co zamarzysz, i w pełnych werwy wierszach, kreśli młodemu potęgę złota.

Słowa twe jak simum wieją mi na duszę, odpowiada Oliwier — słuchając ich usycham, staję się złym, samolubem, szydercą. Ty nie możesz być miłością: ktoś ty?

— Jestem *miłością złota.*

Młodzian ucieka od tej zgubnej miłości, prowadzony przez Robina, puka do trzeciego pałacu, gdzie nań czeka *miłość władzy*. Ta, dziwnie znaczącemi przynęca go monologami. W nich to zapewne autor okazał się zbyt śmiałym i zuchwalstwo swoje wygnaniem z teatru przypłacił. (Cała ta sztuka Ponsarda—została zabraną przez policyą — i dopiero po kilkunastu dniach po dokonaniu przez autora pewnych wykreśleń — odesłaną została.)

Skoro i tą miłością wzgardził wielkoduszny Oliwier, Robin obiecuje zaprowadzić zwycięzkiego kochanka boginì, do prawdziwej miłości — ale pokazuje się, że za poznanie każdej fałszywej dając po lat 15 swego życia, nieborak się zestarzał. Litościwa bogini zwraca młodość ukochanemu, a ponieważ potrafił odepchnąć wszystkie złe miłości, darzy go prawdziwą.

Luźna to fantazya nie związana z resztą sztuki, ale raczej w nią inkrustowana, bardzo jest nadobna, lekka a przytem pełna poważnych myśli.

Hrabiny jednak nie zabawiła. Spotykamy ją znowu w akcie trzecim. Ostatni ten akt, zarazem ostatni dzień konkursu wyznaczonego zalotnikom, przejmuje głębokim smutkiem. Dekoracya przedstawia poddasze, mieszkanie bladej, fatalnej nędzy.

Uboga dziewczyna z chorą siostrą, uosobienie niedostatku, pasuje się tu z życiem... Iżona i kuszona na przemiany, biedna wyrobnica już ma upaść, pod naciskiem nędzy, kiedy kuzynek przyprowadza hrabinę i prosi, żeby pogadała z wyrobnicą o jej doli.

— Jakżeż to być może! Tak straszne tu widzę ubóstwo! a przecież ja grałam aż dwie komedye na ubogich tego roku! i kwestowałam dla bióra dobroczynności! woła zdziwiona dama.

— Bióra dobroczynności, pani, są dla biedniejszych odemnie, dla tych, co nie mogą pracować — ja pracuję, odpowiada szwaczka.

— To skądże taka nędza?

Wyrobnica opowiada swe życie— wylicza ile pracuje, a ile zarabia. Hrabina słuchając tego strasznego bilansu, nie śmie już patrzeć na swe koronki i branzolety... a prędzej rzuca swój woreczek we fartuch robotnicy, i cała rozszlochana oddaje swą rękę kuzynowi bo tego wart, kiedy odgadł, że dla serca kobiety największą rozkoszą miłosierdzie.

Owóż cała komedya. Nie jest że to piękny rys serca kobiecego. Nie dobrzeż to podana *prawda* tak moralna, tak święta!

Oby nasze rodaczki nie robiły z niej nigdy wyjątków, oby świat cały im przyznał, że ich największą rozkoszą jest *miłosierdzie*.

Bonifacy.

WYPRAWA DO MOGIŁY.

(Najprawdziwsze zdarzenie.)

Wprowadzam łaskawych czytelników do dość gustownie umeblowanego pokoiku leżącego na drugiem piętrze, jednej z kamienic ulicy... ale co nam tam do ulicy, dosyć, gdy powiem, że ulica a zatem i kamienica, więc też i ów pokój znajdują się w naszym kochanym Krakowie.

Owóż w tym pokoju, alias salonie zastaniemy dwie panie. Jedna z nich siedzi na kanapie, druga na krześle przy oknie, z głową podniesioną, z oczami wlepionemi w dach i komin przeciwległej kamienicy, a że w tej stronie nie ma nic widzenia godnego, więc możemy śmiało twierdzić, że marzy o niebieskich migdałach, lub stawia zamki na lodzie. Pierwsza z tych pań, kobieta już letnia, ale widać to z regularnych rysów, z żywych jeszcze oczu, że kiedyś musiała być piękną, ale widać także, że latka nie wyswobodziły jej z pretensyi — młodemu wiekowi przystającej: ciągłe zerkanie w zwierciadło na przeciw wiszące, częste muskanie koków, sterczących jak dwa snopy po stronach skroni, biała i małą rączką, wreszcie jasna batyścikowa, porządnie wygorsowana suknia, zupełnie tego dowodziły. Przy oknie siedząca, była młodą i przystojną — a chociaż jej opisać nie mogę, gdyż byłaby to niedyskrecya z mojej strony — lecz proszę mi wierzyć że żaden z panów kawalerów jakiegokolwiek stanu i wyznania, znalezieniem najmniejszego błędu ni w rysach ni figurze, kłam mojemu zdaniu zadać nie byłby w stanie.

Pierwsza z tych pań jest macochą młodej panienki — której imie chrzestne wyjawię, bo ileż podobnych imion w naszem mieście — a wdową po znacznym urzędniku i właścicielu tej kamienicy, w której te panie zastajemy. Młodej panience Emilia na imie. Macochę jej, będziemy nazywać panią Naczelnikową.

Jak długo te panie, nic do siebie nie mówiąc, siedziały, tego powiedzieć nie umię, to tylko wiem, że pani Naczelnikowej oczka zaczęły się przymrużać, usta do uśmiechu składać i że wreszcie odezwała się w te słowa do pasierbicy:

— Ach! jakże wesoło cały dzień spędzimy! Wyjedziemy rano, dopiero w noc powrócimy; a kto wie może i zanocujemy. Osób z Krakowa wybiera się mnóstwo. — Młodzieży będzie dużo, może wpadniesz któremu w oczko, kochana Emilciu — co mówiąc spojrzała tak miło pani Naczelnikowa w zwierciadło, że każdy mógłby z łatwością odgadnąć: że więcej myślała, o wtłoczeniu pętów małżeńskich na swoje własne rączki, niż swojej pasierbicy. — Wydatków żadnych mieć nie będziemy, pan Jeremiasz musi nam towarzyszyć, i naturalnie ten honor dobrze okupić.

— Lecz ja, wolałabym zostać, kochana mamo — rzecze Emilcia — nie lubię takich wielkich zgromadzeń, a nie nawidzę tego brzydkiego Jeremiasza, który wydawszy trochę pieniędzy, będzie miał zaraz jeden powód więcej, do roszczenia sobie prawa do mojej ręki.

— Ale wyśmiejesz głupca — perswadowała mamunia — jakżeż można dla tem podobnej drobnostki, wyrzekać się tak wielkiej przyjemności.

Przysłowie mówi: O wilku mowa a wilk tu.

Drzwi się otworzyły i w progu zjawiła się niepoczesna figurka pana Jeremiasza. Przypatrzmy mu się bliżej.

Był to chłopczyk 40-letni; a wyglądał jak pajacyk z chleba urobiony. Wprawdzie on sam, nie poświęciłby ani okruszynki chleba na takie figle: raczej zjadłby go. Nadzwyczajnie skąpy, nigdy nie dojadł. Ale co na powierzchowność swoję, to wiel ce był dbałym. Pierścieni mnóstwo na palcach. Tylko suknie przedstawiały zbiór najrozmaitszych kolorów: żółta, czerwona, zielona farba były zawsze reprezentowane Pan Jeremiasz wyglądał jak istna papuga

Naczelnikowa prosiła go siadać, a chcąc zapewne zadrwić z jego miniaturowej figurki, wskazała na mały wyścielony stołeczek, służący do oparcia nóg; lecz pan Jeremiasz podrzucił się na krawędzie karla, aby się zaś nie zesunął oparł się końcami nóg mocno o podłogę.

— W samą porę pan przyszedłeś — zaczęła rozmowę pani Naczelnikowa — właśnie udecydowałyśmy z Emilcią podróż do Mogiły, musisz nam pan towarzyszyć.

Jak gdyby grom siarczysty uderzył w pana Jeremiasza, tak nagle zsunął się z poręczy i jął czerwoną, żółto nakrapianą chustką pot zimny z twarzy obcierać. Był nieboraczysko aż nadto dobrze przekonanym, że Naczelnikowa chociaż dość majętna, lubiła jednak na spacerach cudzą kieszenią szafować. Lecz ochłonąwszy z przestrachu, zaczął przytakiwać propozycyi, a przytem przemyśliwać, jakby tu małym kosztem wydobyć się z tej tarapaty. Więc przemyśliwał, jakimby sposobem wywinąć się gładko a mądrze od płacenia powozu i obiadu. Widać, że go przytomność w tak stanowczej dla jego kieszeni chwili nie opuściła, gdyż na pozór uradowany zbliżył się do pań i klaszcząc w ręce rzecze:

— Wyborny projekt. Przecież raz będę mógł paniom pokazać, że nie mam nóg tylko od parady, że jestem doskonały, jedyny do pieszej wędrówki. Wybierzemy się pięknie ładnie po objadku, który panie będziecie łaskawe wcześniej spapać, zrobimy tę małą milkę, w trzech godzinach, a zabawiwszy się na świeżem powietrzu, powrócimy po chłodzie do domu.

— Jakie też pan dziwne pomysły miewasz — powstała na biednego chłopczyka Naezelnikowa. Jakże mógłeś nawet myślić, że my zechcemy pójść piechotą. A składając usta do uśmiechu powiada: Jeżeli chcesz się pokazać, jak na przyzwoitego kawalera przystało, najmiesz pan wygodną karetę, weźmiesz nieco ciast i dobrego wina — wszystko to naturalnie na wspólne koszta— i zajedziesz tutaj z karetą po nas.

Z wymuszonym uśmiechem, obiecał pan Jeremiasz spełnić jak najdokładniej wydane mu rozkazy, i wypadł prawie z pokoju, chcąc czemprędzej znaleść się w swojem mieszkaniu i wydrzeć sobie z rozpaczy garść włosów. Bo chociaż mu się zdawało że z pewnością zdobędzie Emilkę a z nią intratną kamieniczkę, to przecież uczuwał boleśnie, wydatek spowodowany drogą do Mogiły, który już naprzód z posagu przyszłej żony ponosić będzie musiał.

Ten malutki człowieczek, wachał się ciągle jak perpendykuł od zegara, między dwoma skłonnościami, które nigdy razem żadnego śmiertelnika trzymać się nie mogą: był wielkim amatorem ładnych panienek, a jeszcze większym pieniędzy. Ale że panienki jakoś żadnej sympatyi do niego nie czuły, więc musiał często, mniemając, że pozyska choć uśmiech miły, zastępować swoje serce, woreczkiem napchanym ważnemi dukacikami. Z tego to powodu, staczały jego namiętności nie raz komiczną walkę ze sobą. Gdy był młodym miłość zwyciężała często a skąpstwo musiało jak jaki zwalczony książę ustąpić coś ze swoich posiadłości.

Pan Jeremiasz mieszkał w ciasnej ulicy, w szarej kamieniczce na drugiem piętrze od tyłu. W brudnej i ciemnej izbie, uderzała w oczy, wielka żelazem okuta skrzynia, z siedmioma kłotkami. Nad nią wisiało na ścianie ośm starych zardzewiałych pistoletów, z odwiedzionemi kurkami. Lecz to było tylko dla zamydlenia oczu złodziejom. Pistolety nie były nigdy nabite, a skrzynia zawierała kilkadziesiąt ciężkich kamieni.

Właściwy skarbiec zupełnie w innej stronie był ulokowany. W lewym kącie od drzwi wchodowych, można było zobaczyć mnóstwo rupiecia różnorodnego, zwalonego na kupę — pod tą stertą leżała niewielka paluba drewniana, jakiej modniarki używają do ubierania czepków. Owóż wnętrze tej paluby było wypchane ważnemi dukacikami holenderskiemi, talarkami, rubelkami, półimperiałkami, i listy zastawne silnie reprezentowane były.

Więc gdy pan Jeremiasz, chciał sobie od czasu do czasu lepiej zjeść lub wypić, a potrzebował do tego więcej pieniędzy, niż sobie wyznaczył na dzienne utrzymanie, to składał pokornie ręce i prosił palubę w te słowa:

— Łaskawa jejmość dobrodziejko. Pożycz mi tyle a tyle. Klnę się na zbawienie duszy mojej, że ci oddam rzetelnie.

(C. d. n.)

TEATR POLSKI W KRAKOWIE.

Są tacy nieszczęśni ludzie, którym sumienie żadnej zbrodni wyrzucić nie może, których dobroć serca i prawość charakteru wysoko bardzo stawia w obec — sędziego najskrytsze tajnie przenikającego, — którzy przecież często, dziwnem jakiemś zrządzeniem losu, na bezdroża życia popchnięci— noszą miano zbrodniarza lub zbójcy. Dobrze pojęty i pięknie przedstawiony charakter takiego (jeżli się nazwać godzi) zacnego-zbrodniarza, nastręcza bardzo korzystną sytuacyę do dramatu. Korzystał z niej Szyller stwarzając Karola w Zbójcach—widzieliśmy taką postać wczoraj w osobie Don-Cezara de Bazan w dramacie zresztą, czystą będącym awanturą p. t. „Rujblas“ który nie jest dziełem A. Dumasa, ani ojca ani syna (jakto afisze doniosły, ale Wiktora-Hugo. Don-Cezara de Bazan grał p. Jan Królikowski, goszczący od dni kilku w Krakowie. Wniknąwszy w charakter takiego awanturniczego a zawsze zacnego — wietrznika — oddał go ten znakomity artysta z całą precyzyą sztuki i jej najważniejszych zalet: piękna i prawdy. W całym dramacie ma on jednę tylko godną siebie scenę — scenę aktu IV w której prześladowana cnota w całej pełni swej świetności, nikczemnie maskowaną zbrodnię upokarza, nie mogąc jej jednakże zwyciężyć — popadając w moc gwałtu — ufność swego tryumfu w miłosierdziu i sprawiedliwości Boga pokłada. To też do rozrzewnienia porwani byliśmy w niej grą pana Królikowskiego, który tak w najcichszem słowie, jako też w najgłośniejszem uczuciu nie przypominał nigdy, że jest na deskach teatru — łudząc do zapomnienia swoją naturalnością.

O grze artystów krakowskich, zwracając się do wartości dramatu, powiedziećby można tyle, że w owej pięknej scenie aktu IV p. Dębicki, jako młody i nie dawno grający, zasłużył sobie na uznanie. Wobec tak znakomitego artysty, z małej swej roli wywiązał się wcale nie źle.

Pan Delchau bardzo dobrze pojął, troszkę za przesadny charakter rozamorowanego starca, i odegrał go wcale nie przesadzoną komiką. Pan Karsznicki i pan Janowski, mieli wielką trudność dobrego oddania ról swoich.

W końcu zaś zauważymy, iż nie godzi się ostrzylanym ze sceną aktorom, parodyować nie właściwe swemu wrodzonemu usposobieniu role. Lepiej nic nie grać — niż psuć. Scena rady kastylijskiej, zrobiła wcale nieprzyjemne wrażenie.

Od Redakcyi. Szanownych przedpłacicieli „Niewiasty“, którzy już po 30 października b. r. tygodnik zaprenumerowali, upraszamy, ażeby o nie nadesłanie im Nru 1go nie reklamowali. Tego bowiem numeru drugi nakład właśnie rozpoczętym został — i dla tego też za dni kilka dopiero roześle się go wszystkim, którzy po 30 paźd. albo już przystąpili, albo w tych dniach do przedpłaty przystąpią.

Wszelkie reklamacye należy przysyłać bez opieczętowania, bo takie wolne są od opłaty pocztowej.

W komedyi „Przywyczki“ wkradło się kilka błędów, które tu prostujemy.

W akcie I.	Scen. 5 w. 5 rachując od początku sceny zamiast: nami, czytaj: wami.
dtto.	s. 5 w. 8 zam. ojciec nie tyle, czyt. ojciec nie tyle mi.
dtto.	s. 5 w. 11 z. To c. Dr.
dtto.	s. 8 w. 21 z. zatrwożony, cz. zaperzony.
dtto.	s. 9 w. 43 słów: nie znam się na ceregielach — nie trzeba.
dtto.	s. 9 w. 45 po wyrazie taki, dodać: i że nie znam się na ceregielach.
W akcie II.	w s. 2 w. 15 z. rozczuleniem, cz. rozcuceniem.
dtto.	s. 2 w. 35 zam. odpływa, cz. spływa.
W akcie III.	w s. 1 w. 19 zam. z giętem, czyt. z zgiętem.
dtto.	s. 1 w. 21 zam. nie nawidziła czyt. nie nienawidziła.
dtto.	s. 2 w. 18 z. mam, c. mamo.,
dtto.	s. 2 w. 41 z. możem, c. może.
dtto.	s. 2 w. 43 z. Jak to, co innego, c. Tak, to co innego.
dtto.	s. 4 w. 3 z. Semete, c. Semele.
dtto.	s. 4 w. 7 z. dalibyśmy czyt. dalibyście.
dtto.	s. 5 w. 39 z. a tam, c. a tum.
dtto.	s. 5. w. 40 zam. podaje, czyt. podając.
dtto.	s. 8 w. 10 z. a ty wcale, czyt. a ty ideale.
dtto.	s. 8 w. 11 z. co też, c. otóż.
dtto.	s. 9 w. 7 z. Tuś, czyt. Tu.
dtto.	s. 9 w. 21 z. słowo, c. słowa.
W akcie IV.	s. 2 w. 16 zam. uniżoną, czyt. unużoną.
dtto.	s. 2 w. 18 zam. uniżona, czyt. unużoną.

Niewiasta wychodzi w Krakowie co Poniedziałek w objętości jednego do półtora arkusza druku. Mody paryzkie na żądanie za dopłatą (w przeciągu całego roku złr. 4 c. 20 w. a. wynoszącą) w miesiąc raz dosyłane będą. — Na same mody prenumerata nie przyjmuje się. „Niewiasta“ wychodzi cotydzień.
Pieniądze prenumeracyjne należy przesyłać **franko „do Redakcyi Niewiasty w Krakowie“.**

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca, **Antoni Rother.**